

Temat tygodnia

- 12 Agnieszka Sowa
Różaniec opasał całą Polskę. Prawie
- 15 Wojciech Szacki
Dobra zmiana przyciąga chętnych
- Polityka**
- 18 Mariusz Janicki
Wiesław Władysław
Siedem złudzeń opozycji
- 21 Ewa Siedlecka
Sprawiedliwy sędzia Strzembosz
- 22 Adam Szostkiewicz
Bat na księży: celibat
- 25 Rozmowa z ekspertem think tanku RUSI **Jonathanem Eyalem** o ministrze Macierewiczu i rosyjskich interesach w Polsce

Społeczeństwo

- 30 Ewa Wilk
Polskie neuroplemiona
- 33 Zuzanna Bukłaha
Szpital bez pielęgniarek?
- 36 Juliusz Ćwieluch
Woda zabija, woda ratuje

Rynek

- 38 Cezary Kowanda, Joanna Solska
W bitwie o handel będą ofiary
- 41 Rafał Woś
Pracownicy oddelegowani czy wykołegowani
- 44 Fiszki – użytkownicy o aplikacji informacyjnej POLITYKI

Świat

- 46 Łukasz Wójcik HISZPANIA
Czy małe państwa są lepsze
- 49 Paulina Wilk INDIE
Wpływowi guru – biznesmeni, marketingowcy, politycy
- 52 Tomasz Zalewski USA
Sekretarz stanu w stanie zawieszenia

Historia

- 54 Edwin Bendyk
Dlaczego testament Kościuszki nie został wykonany

12



Różaniec łączy i dzieli

30



Dlaczego przestaliśmy ze sobą rozmawiać

38



Komu zaszkodzą wolne niedziele

108



Filipińczycy uciekają przed Filipińczykami

- 58 Jan M. Długosz
Pierwsze zwycięstwo Jana Sobieskiego

Nauka

- 60 Michał Różyczka
Uwaga na asteroidy
- 63 Agnieszka Krzemińska
Włosy mają głos
- 66 TECHNOECHO

Kultura

- 82 Jan Rojewski
Festiwal filmowców niepokornych w Gdyni
- 86 Dorota Szwarzman
Dagny Przybyszewska w operze
- 88 Urszula Schwarzenberg-Czerna
„Magiczny świat Tistou” Maurice’a Druona
- 90 Aneta Kyzioł
Czy „Wataha 2” zapędzi widzów przed ekrany
- 92 Justyna Szklarczyk
Historia okiem kobiet
- 95 Aleksandra Żelazińska
Pulp Nobel?

Ludzie i style

- 96 Michał Klimko
SexMasterka – edukacja erotyczna w sieci
- 99 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 100 To my zatrudniamy piłkarzy – rozmowa z anonimowym kibicem o środowisku kibolskim

Na własne oczy

- 108 Tekst i fotografie Witold Pawłowski
Filipińska wojna z islamistami

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz • 102 Passent
- 103 Chutnik i Plebanek
- 104 Hartman • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy
- 114 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Gra w generała

Kraj żyje awansem piłkarzy na mundial w Rosji i sprawą generała Motackiego. Z tym że, o ile awans na mundial nie budzi żadnych wątpliwości, o tyle osoba generała Motackiego – owszem. Wszyscy zadają sobie pytanie, czym człowiekiem jest generał Motacki i kto stoi za powołaniem go na stanowisko dowódcy wielonarodowej dywizji NATO w Elblągu? Na razie pewne jest tylko, że Motacki nie powołał się sam, chociaż, prawdę mówiąc, byłoby to rozwiązanie najlepsze dla wszystkich. Pozornie za nominację Motackiego odpowiada minister Macierewicz, który osobiście mianował go dowódcą dywizji NATO, chociaż w opinii wiceministra Dworczyka z MON za tą nominacją stał obóz prezydencki. W jaki sposób i z jakiego powodu stał, Dworczyk nie ujawnia, ale ponieważ jest to obóz wrogi Macierewiczowi, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś z tego obozu specjalnie podsunął Macierewiczowi Motackiego, licząc, że szef MON się nie zorientuje.

Dworczyk twierdzi, że nominacja Motackiego była efektem „wyraźnej sugestii” ze strony BBN, chociaż chyba nie mogła być ona zbyt wyraźna, skoro członkowie BBN do dzisiaj nie mają świadomości, że ją wyrazili i w specjalnym komunikacie



twierdzą, że Biuro nie podejmowało „żadnych działań mających na celu wskazanie” Motackiego na stanowisko dowódcy. Trudno się zresztą temu dziwić, zwłaszcza po tym, jak Onet.pl ujawnił, że Motacki jako młody oficer przeszedł w ZSRR szkolenie nadzorowane przez sowiecki wywiad wojskowy GRU. „Mogę z całą stanowczością stwierdzić, że żadnego kursu GRU nie przeszedł” – oznajmił niedawno minister Macierewicz, który ustalił to, poddając Motackiego badaniu wariografem na jego prośbę. I chociaż mówi się, że jeśliby Motacki przeszedł kurs GRU, potrafiłby wariograf oszukać, to osobiście uważam, że nawet jeśli Motacki zdołałby oszukać wariograf, to nie zdołałby oszukać Macierewicza, który znany jest z tego, że prędzej sam się oszuka, niż da się oszukać komuś innemu.

Daleki jestem od doradzania Antoniemu Macierewiczowi, ale namawiam go, żeby na prośbę generała Motackiego na wszelki wypadek ponownie podłączył go do wariografu w celu ustalenia, kto i od jak dawna stoi za jego nominacją. Oczywiście nie można wykluczyć, że generał będzie kręcił i mylił tropy, dlatego dodatkowo powinien być przesłuchany przez komisję weryfikacyjną wiceministra Jakiego, który ma tę zaletę, że nie jest tak łatwowierny jak wariograf.

YOU'RE IN COSMOPOLITAN TWARDA 4



EKSKLUZYWNE I KOMFORTOWO WYPOSAŻONE APARTAMENTY W SAMYM CENTRUM WARSZAWY. GOTOWE DO ZAMIESZKANIA.

EXCLUSIVE AND COMFORTABLY FURNISHED APARTMENTS IN THE VERY CENTRE OF WARSAW. READY TO MOVE IN.

+48 535 10 10 10 | www.apartamentycosmopolitan.pl |



TACIT
INVESTMENT

Kup książkę

Duda tu po nic



Jerzy Baczyński

Andrzej Duda ma prawdopodobnie najlepszą posadę w Polsce. Prestiż nieporównywalny z żadną inną funkcją w państwie, monarsze otoczenie – dwór, służba, ochrona, pałace letnie i zimowe, także limuzyny, światowe kontakty, do tego autentyczna popularność i wcale nieudawana sympatia milionów Polek i Polaków. Część tej sympatii ma na pewno domieszkę współczucia, bo choć „cysarz to ma klawe życie”, emocjonalnie trudno czegokolwiek Dudzie zazdrościć. Za swoje wyniesienie płaci ogromną cenę: publicznych upokorzeń, drwin, lekceważenia, pewnie podobnej skali jak kiedyś prezydent Lech Kaczyński. I niestety z podobnego powodu. Nad całą pisowską formacją dominuje toksyczna osobowość Jarosława Kaczyńskiego, która w stosunku do brata przejawiała się w formie opiekuńczo-ochronnej – odbierającej wszakże Lechowi prawdziwą samodzielność i odpowiedzialność – a wobec wszystkich innych jest już czystą relacją bezwzględnego podporządkowania. Ludziom, którzy nigdy nie ulegli urokowi Jarosława Kaczyńskiego, strasznie trudno jest wczuć się w tę atmosferę fascynacji, lęku, radośnej uległości, jaką wobec przywódcy prezentują jego podwładni. Trudno zrozumieć, dlaczego dorośli ludzie ten typ zależności akceptują. Andrzej Duda jest, można powiedzieć, klinicznym przypadkiem owego syndromu pisowskiego, ofiarą przemocy w partyjnej rodzinie.

Desperackie weta Andrzeja Dudy, po kolejnych odśłonach kryzysu zostały zredukowane do tego, czym zapewne były od początku: żądaniem szacunku, uwagi, uznania przez Ojca, że nie jest się gorszym od reszty rodzeństwa. I, jak w patologicznej rodzinie, bunt spotkał się z represją. Ostatnie wywiady i wypowiedzi prezesa były dla Andrzeja Dudy okrutne. Konflikt Ziobro-Duda prezes lekceważąco określił jako „pokoleniowy spór czterdziestolatków” i jednoznacznie opowiedział się za „bardzo dobrym” ministrem sprawiedliwości. Odpowiedź prezydenta w wywiadzie „Do Rzeczy”, przypominająca, że Ziobro kiedyś zdradził PiS, zabrzmiała już tylko skarżypycko i płacziwie. Identycznie prezes rozstrzygnął coraz bardziej brutalną rozgrywkę konstytucyjnego „zwierzchnika sił zbrojnych” z ministrem obrony. Dudzie i jego ludziom właściwie nic do armii, nawet gdyby pan Antoni zechciał całe wojsko przebadać wariografami (po sprawie gen. Krzysztofa Motackiego te urządzenia powinny się chyba znaleźć na wyposażeniu każdego batalionu WP). Uciał też mrzonki prezydenta o umacniającym jego pozycję referendum, przy okazji, z charakterystycznym dla siebie i raczej zbędnym okrucieństwem, czyniąc aluzję do „braku doświadczenia, umiejętności, celebryctwa”, a kto wie, może nawet złej woli głowy państwa („proszę tego nie odnosić do pana Andrzeja Dudy”). Równie drwiąco zaproponował, aby prezydent zajął się może np. polityką zagraniczną, którą prezes zdaje się mieć w ogóle w pogardzie i spokojnie w tej funkcji wystarczyłyby

mu kolejne Różańce do Granic, bo polityka zagraniczna ma być przede wszystkim formą prezentowania światu naszej odrębności, izolacji („wyspa wolności”), misyjnego poczucia wyższości, przekonania, że pod opieką opatrności „żadna siła nas nie pogrąży”.

Andrzej Duda ma naprawdę przykrą sytuację; już przegrał, choć jeszcze (pewnie motywowany przez swoich ludzi) próbuje się odgryzać. Nie samemu patronowi, ale niechby Ziobrze i Macierewiczowi. To wciąż podtrzymuje pewne zamieszanie po stronie opozycji (o jej iluzjach piszemy na s. 18), bo skoro Duda jednak wciąż stawia się „zakonowi PiS”, to może trzeba go traktować jako przyszłego lidera jakiegoś nowego łagodniejszego PiS, wewnętrznej opozycji w obozie władzy? Zwykła racjonalność polityczna nakazywałaby pewnie Jarosławowi Kaczyńskiemu podtrzymywanie tej iluzji, wysłanie sygnału do różnych grup niepisowskich wyborców, że Duda z Kukizem mogą ich reprezentować lepiej niż „totalne” partie antypis. Jednak taka gra wymagałaby oszczędzenia Dudzie upokorzeń, publicznego ośmieszania (przy pozorach tej samej paternalistycznej szarmanckości, jaką Kaczyński od zawsze demonstruje wobec kobiet).

Fakt, że Kaczyński nie gra Dudą, świadczy o tym, że w tej wojnie nie będzie jeńców, żadnego układania się z opozycją, łagodzenia języka, odstępstw na drodze całkowitego przejmowania państwa. Ta droga ma być jak najkrótsza, jakby Kaczyński nie miał już czasu ani cierpliwości do jakichś bardziej skomplikowanych układanek. W wyborach – pewnie ponad własne oczekiwanie – dostał pełnię instytucjonalnej władzy i sprawia wrażenie, że już do końca życia nie zamierza jej wypuścić. Choćby trzeba było zmienić ordynację wyborczą, zastraszyć policyjnymi i prokuratorskimi akcjami środowiska opozycyjne, wyeliminować politycznych rywali sądowymi wyrokami, wydać pod wybory cały budżet państwa. Nie wiadomo, czy Kaczyński sięgnie osobiście po stanowisko premiera lub, jak ostatnio daje do zrozumienia, „raczej kanclerza” – ale, przypominając jego własne deklaracje, najbardziej marzy mu się rola „emerytowanego zbawcy ojczyzny”, nowego wcielenia marszałka Piłsudskiego, Naczelnika Państwa. Zdaje się, że wszyscy Polacy mają wziąć udział w tym wielkim przedsięwzięciu rekonstrukcji historycznej. To marzenie jest w równy sposób imponujące, co chore.

Czy Duda może być jeszcze jakąś nadzieją Białych (w sensie Białych i Czerwonych z rewolucji bolszewickiej)? Teoretycznie, wyłącznie od jego decyzji zależy, czy stanie się samodzielnym politycznym podmiotem, co w nomenklaturze pisowskiej oznaczałoby zdradę. W PiS czekają go już tylko dalsze upokorzenia oraz – oczywiście – pałace letnie i zimowe, limuzyny i różańcowa dyplomacja. Opozycja nic nie może zrobić, aby Dudę przekonać do wyjścia poza swój obóz, aby wyrwać go z hipnotycznego letargu, w który znów się zapada. Nie może nic zrobić i nie powinna. Demonstracje pod Pałacem też już tracą sens. Więc co?

Po upadku Trybunału Konstytucyjnego sędziowie zadeklarowali tzw. rozproszoną między wszystkie sądy kontrolę konstytucyjności. Na razie, w oczekiwaniu na ewentualny bunt Dudy, ewentualny program PO, zjednoczenie lewicy i inne zjawiska wątpliwe i niepewne, można stosować rozproszoną opozycyjność. Każdy, komu nie uśmiecha się życie w państwie Naczelnika, może coś robić: wesprzeć, wpłacić, dokumentować, odmówić, protestować, bronić publicznie i prywatnie swoich poglądów, bronić ludzi. Duda tu po nic.

KOMENTARZ

Niezależność pod Dudą czy pod Ziobrą?



Ewa Siedlecka

PiS reformuje sądownictwo. Publicystów najbardziej kręci, kto kogo: prezydent przesza czy prezes prezydenta? „Pałac” i „Nowogrodzka” negocjują: czy sądownictwem powinien rządzić Andrzej Duda czy może Zbigniew Ziobro? Dla kogo Sąd Najwyższy, a dla kogo Krajowa Rada Sądownictwa? Wieści są ekscytujące: prezes dyscyplinuje Ziobrę, PiS idzie na „daleko idące ustępstwa” wobec prezydenta (rzecznicka rządu Beata Mazurek), ale „prezydent musi to zobaczyć na piśmie” (rzecznik prezydenta Krzysztof Łapiński). Duda w zamian za Sąd Najwyższy dostał od prezesa propozycję rządzenia polityką zagraniczną (co, notabene, pokazuje, na ile ważna jest ona dla PiS). A wszystko to po to, by usprawnić postępowania sądowe i sprawić, by sądziły „sprawiedliwie”. A Ty, Czytelniku, jak myślisz: czy sędziowie będą lepiej sądzić pod Dudą czy pod Ziobrą? Może krótkie badanko opinii publicznej? W końcu *vox populi vox dei*.

Ziobro już zaczął usprawnianie sądów powszechnych. Właśnie „weryfikuje” prezesów. W zeszłym tygodniu przerwał kadencję następnych dwóch: w Lubaczowie i Przemyślu. Nie uzasadnił dlaczego. Nie musiał, bo wcześniej napisał prawo, które go od takich uzasadnień zwalnia. Za chwilę „zwykły obywatel” (czy raczej „zwykły Polak” – bo PiS woli posługiwać się kryterium narodowości, a nie obywatelstwa) powinien odczuć dobrą zmianę w sądach.

W Wołominie już odczuwa. Zebranie sędziów tamtejszego Sądu Rejonowego

podjęło – jednogłośnie – pod koniec września uchwałę. Dzięki polityce kadrowej ministra sprawiedliwości w Wydziale Cywilnym tego sądu na jednego sędziego przypada 1100 (!) spraw „w toku”. To znaczy, że w każdej z tych spraw powinni raz w miesiącu podjąć jakąś „czynność”, bo inaczej będą mieli „wytok” od ministerstwa. A minister Ziobro zabrał im do Warszawy kolejnych dwóch sędziów. Jednocześnie, od początku swojej kadencji, nie obsadza wakatów ani sędziowskich, ani referendarskich, ani asystentów sędziów. Tak przejawia się troska ministra o „szarego człowieka”.

Ale trwa walka na górze o Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa. Bo dają władzę nad prawomocnymi wyrokami i obsadą sędziowską. Z niezrozumiałych powodów większość komentatorów uznała projekt prezydencki za mniej łamiący konstytucję. Dożyliśmy czasów, w których złamanie konstytucji może być dopuszczalne, jeśli jest „mniejsze”. Ale nawet jeśli tak, to prezydenckie projekty wcale nie łamią jej mniej. Tak jak pisowskie, pozwalają na przerwanie kadencji sędziowskich członków Krajowej Rady Sądownictwa. I sędziów Sądu Najwyższego, bo kogo nie uda się wykosić obniżonym wiekiem emerytalnym, może być wykoszony dyscyplinarnie. Projekty prezydenckie, tak jak pisowskie, dopuszczają, by „przedstawiciele sędziów” do KRS wybierali posłowie. Bez względu na to, jaką większością głosów – w tym samym stopniu łamie to konstytucję.

Prezydencki projekt jest względniejszy dla KRS, który oddaje w ręce PiS, i rujnujący dla SN. Izba polityczna, którą w SN miałby skomponować prezydent, to pomysł na przejęcie przez władzę wykonawczą orzecznictwa sądów w sprawach politycznych: wyborów, finansowania partii i w ogóle „spraw publicznych”. A do tego ta Izba będzie weryfikować prawomocne wyroki na przestrzeni ostatnich 20 lat. Czy to naprawdę bardziej *lightowe* niż projekt PiS?

Tę propozycję prezydenta publicyści krytykują. Ale jakoś nie wzbudza komentarzy inna, wcale nie mniej groźna: prawo prezydenta – wobec sędziów SN, a ministra-prokuratora generalnego wobec sędziów sądów powszechnych – do powoływania specjalnego prokuratora – „Nadzwyczajnego Rzecznika Dyscyplinarnego”. Taki „nadzwyczajny rzecznik” mógłby przejąć już toczącą się sprawę dyscyplinarną lub wszcząć własną. A postępowania dyscyplinarne mogłyby być wytaczane w sprawach już prawomocnie zakończonych lub przedawnionych. A to daje władzy wykonawczej możliwość weryfikacji sędziów. Np. pozbycia się sędziego Wojciecha Łączewskiego, który był w składzie skazującym Mariusza Kamińskiego. Albo sędzi Alicji Fronczyk, która nie chciała uznać immunitetu posła wiceministra Jakiego. Albo sędziów Sądu Apelacyjnego w Warszawie, którzy właśnie uznali, że protesty przeciwko miesięcznicy smoleńskiej były zgromadzeniami spontanicznymi, więc nie można ich uznać za nielegalne i rozpędzić. Paragraf na tych sędziów się znajdzie. Tym bardziej że sądzić ich będzie nowa Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego, skomponowana albo przez prezydenta Dudę, albo przez ministra-prokuratora Ziobrę. Bez różnicy. Kogo nie da się usunąć ze względu na wiek, będzie usunięty dyscyplinarnie. Albo przynajmniej zawieszony w orzekaniu do czasu zakończenia postępowania dyscyplinarnego. Ale komentatorzy koncentrują się na pytaniu: kto kogo?

A jak będzie wyglądało sądownictwo **A**po „dobrej zmianie” – wszystko jedno, kto w tym sporze zwycięży – możemy się przekonać, oglądając przesłuchania przed Komisją Weryfikacyjną ds. reprivatyzacji, pod wodzą wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego. Właśnie rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar wystąpił do wiceministra-przewodniczącego w piśmie wyrażającym zaniepokojenie m.in. stronniczością Komisji (która pełni rolę sądu), zastraszaniem i poniżaniem świadków. Jaki odpowiedział natychmiast: żądaniem złożenia Bodnara z urzędu RPO.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Mundial wzięty!



Marcin Piątek

Z rzeczywistością się nie dyskutuje. Pierwsze miejsce w grupie, bezpieczna przewaga nad rywalami i Adam Nawalka jako pierwszy w dziejach polskiego futbolu selekcjoner, który wprowadził reprezentację na mistrzostwa Europy i świata. Ładunek emocjonalny, jaki niesie ze sobą futbol, jest tak ogromny, że jeśli chodzi o mundial, zgodnie z przebrzmiałą już ideą barona de Coubertina, liczy się sam udział. Z punktu widzenia piłkarza to święto, miła odmiana od ligowej monotonii i jeszcze miłsza świadomość przynależności do futbolowej elity. Z punktu widzenia widza – gwarancja palpacji serca, o jakie w kibicowaniu chodzi.

Euforia po awansie usuwa w cień wszystkie pytania na temat rzeczywistej wartości tej reprezentacji. Widzi się ją raczej na różowo. Grupowi rywale byli rozbici i po przejściach? Grunt, że udźwignęliśmy rolę faworyta i nabiliśmy rankingowe punkty, więc w fazie grupowej mundialu potęgi usuną nam się z drogi. Z ławki rezerwowych wieje pustką? Wszak Nawalka ma w sobie cudowną moc, dzięki której nawet przeciętni ligowcy, uprawiający na polskim podwórku dyscyplinę futbolopodobną, jako reprezentanci Polski objawiają się w swym najlepszym piłkarskim wcieleniu. Kilku zawodników, bez których trudno sobie ten zespół wyobrazić, będzie już w Rosji po trzydziestce? Ach, przecież to najlepszy piłkarski wiek!

Reprezentacja wstała z kolan, ma w sobie tyle jakości, że nikt już nie poważy się na drwiny z drużyny, że na wielkim turnieju gra mecze na „o”: otwarcia, o wszystko i o honor.

Gdyby jednak jej potencjał mierzyć krytycznym spojrzeniem znającego ją na wyłot Roberta Lewandowskiego, trzeba otrząsnąć się ze snów o wielkości. W trakcie tych eliminacji chętniej niż o swoich strzeleckich wyczynach kapitan mówił o zaciemniającej obraz obecności w ścisłej czołówce rankingu FIFA i że przed misją mundial konieczne są wzmocnienia, a może znajdzie się kilka perełek. To jednak, wybaczyć kapitanie, życzeniowe myślenie. Iluczne perełki odnaleziono na ligowym ugorze wchłonał już dawno lepszy piłkarski świat. A nowych, niestety, nie widać.



© STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Łąki pamięci wciąż nielegalne

Mijają właśnie dwa lata, od kiedy minister zdrowia powołał zespół do spraw opracowania projektu ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych. Ta wciąż obowiązująca w Polsce od 1959 r. stawia nasz kraj na cywilizacyjnym szarym końcu Europy. „Rzeczpospolita” doniosła niedawno, że rząd chce rewolucji w tej ustawie i wspomnianą jedynie o tym, że projekt dopuszcza rozsypywanie prochów na ławkach pamięci. Resort już zresztą odciął się od tego pomysłu, oświadczając, że nie popiera zmian, które mogłyby dopuszczać funkcjonowanie tzw. ogrodów pamięci czy rozsypywanie prochów nad morzem (zgodnie z projektem tylko w wyznaczonych wodach, a nie tam, gdzie się komu podoba). To dość nietypowa sytuacja, bo choć projekt był pisany w Głównym Inspektoracie Sanitarnym, to jednak szefem zespołu był przedstawiciel resortu zdrowia. POLITYKA dotarła do całego projektu ustawy i wynika z niego, że łąki pamięci (które już powstały na cmentarzach w wielu miastach w Polsce, ale działają nielegalnie, dotychczas odbyło się na nich około tysiąca takich pogrzebów) to nie jest jedyna rewolucyjna zmiana w tym projekcie.

Pierwszy rząd PiS, pod koniec 2005 r., przysłał do Sejmu ustawę, która dopuszczała zakładanie ławk pamięci. W uzasadnieniu ówczesny minister zdrowia Zbigniew Religa napisał, że „należy uszanować ostatnią wolę zmarłego, który życzy sobie rozsypywania swoich prochów”, że nie ma żadnych przeszkód sanitarnych ani innych, żeby tego dokonać, bo to i tak się dzieje, tylko nie jest uregulowane. Jednak senatorowie PiS uznali, że ta forma pochówku „jest niezgodna z naszą tradycją”, i gdy ustawa wróciła do Sejmu, rząd zmienił zdanie i rekomendował odrzucenie propozycji. Wtedy zadziałała presja Kościoła i lobby funeralnego. Na tradycyjnych pochówkach po prostu więcej się zarabia.

Ministerstwo popiera zapisane w projekcie wprowadzenie opłat za przedłużenie prawa do grobu i to każdego, ziemnego i murowanego. To rewolucyjna zmiana. Dziś to prawo muszą odnawiać po 20 latach (wniesieniem opłaty) tylko właściciele grobów ziemnych. Jeśli tego nie zrobią, to zarząd cmentarza może sprzedać prawo do tego miejsca innym. Inaczej jest dziś z grobami

murowanymi, z miejscem na więcej niż jedną trumnę. Prawo do takiego grobu wykupuje się raz na 99 lat. Zarządcom cmentarzy już od dawna zależało na zrównaniu praw do obu rodzajów grobów. Jeśli przepisy wejdą w życie, będzie to duży zastrzyk gotówki dla gmin i parafii, które zarządzają cmentarzami. Jeśli ktoś nie wniesie po 20 latach opłaty, to każdy rodzaj grobu – zgodnie z nowym projektem – będzie likwidowany, a miejsca odsprzedawane. Na obrocie miejscami na cmentarzu można sporo zarobić. Na jednym z cmentarzy warszawskich miejsce kosztuje 1800 zł, ale już na Starych Powązkach nawet 50 tys. zł.

Krzysztof Wolicki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, zapytany o projekt, jest zdziwiony, że nie zapisano w nim tak potrzebnej definicji przedsiębiorcy pogrzebowego: – *Aby mieć budkę z hot-dogami, trzeba dostać pozwolenia sanepidu, badania lekarskie. To absurd, że żadnych wymagań nie stawia się przedsiębiorcom pogrzebowym.*

Niestety, w projekcie nie znalazła się też tak pożądana zmiana, jak pierwszeństwo do pochowania dane tym, których ze zmarłym łączyła faktyczna więź (udowodniona wspólnym kontem w banku, kredytem czy mieszkaniem). Chodzi o osoby pozostające w związkach nieformalnych. W projekcie ustawy zapisano jedynie, że oprócz małżonka, krewnych i powinowatych – i to jest nowość – prawo do pochowania ma osoba, która opłaciła zmarłemu grób. I to może być furtka dla osób pozostających w takich związkach. Jednak jeśli dzieci czy rodzina zmarłego zgody takiej nie wyrażą (bo są np. z nieformalnym partnerem zmarłego rodzica skonfliktowani), to furtka się zamyka. – *To jest absurdalny zapis, bo prawo pochówku powinno się opierać na faktycznej więzi, a także na wyrażonej np. pisemnie woli zmarłego* – mówi Wolicki. W uzasadnieniu do tego projektu czytamy, że nowa ustawa jest potrzebna, bo ta prawie 60-letnia nie przystaje do dzisiejszych obyczajów i zmian społecznych. Najwyższy czas na nową, dobrą ustawę o cmentarzach i chowaniu zmarłych, ale raczej nie tę, która łada dzień trafi do konsultacji.

ANNA DĄBROWSKA



Strategia szybkiego reagowania

Wybory samorządowe, pierwszy sprawdzian po politycznym przełomie w 2015 r. – coraz bliżej. Partie opozycyjne mają wkrótce przedstawić swoje programy wyborcze. Bardzo jestem ciekaw, co się w nich znajdzie. Na razie pojawiają się propozycje co najmniej dziwne.

Ono z zaplecza jednej z partii dochodzą sygnały, że zamierza ona umieścić w programie likwidację stanowiska wojewody oraz zwiększenie udziału samorządów w podatkach VAT, CIT i PIT. W pierwszej sprawie mogą tylko przywołać art. 152 ust. 1 Konstytucji RP („Przedstawicielem Rady Ministrów w województwie jest wojewoda”), w drugiej zaś ostrzec, że spowodowałoby to ogromne perturbacje finansowe. Z jednej strony zwiększyłyby deficyt budżetu państwa, z drugiej – pogłębiłyby i tak już spore nierówności dochodowe między gminami o większej i mniejszej aktywności gospodarczej. Chciałoby się powtórzyć za klasykiem: nie idźcie tą drogą! A jaką?

Sprawa nie jest oczywiście prosta, bo każda gmina ma specyficzne potrzeby i problemy. Czy jest coś, co je łączy? Tak – oświata, kultura, mieszkalnictwo, komunikacja publiczna, tworzenie warunków dla lokalnej przedsiębiorczości, kształtowanie postaw obywatelskich wśród mieszkańców. W każdej z tych dziedzin można prowadzić politykę, która samorządy kierowane przez opozycję będzie wyraźnie odróżniać od tych rządzonych przez PiS. Nic tu nie da (pomijając jej bezprawność) likwidacja urzędu wojewody czy generalne (mało realne) dosypywanie pieniędzy wszystkim. Nie wystarczy także kusić wyborców inwestycjami, choć to oczywiście niezbędny element każdego programu lokalnego. Trzeba natomiast głośno zapowiedzieć, że – w przeciwieństwie do polityki PiS – pod „naszymi” rządami w „naszej” gminie nie będzie tolerancji dla ksenofobii, rasizmu, dyskryminacji, klerykalizacji życia publicznego, nepotyzmu i koleśnictwa; artyści, twórcy i ich dzieła nie będą cenzurowani, organizacje pozarządowe będą traktowane po partnersku, a podstawowym, programowym celem będzie wyrównywanie szans i przeciwdziałanie nierównościom. **To nie jest program lewicowy – to jest program europejski, tak się rządzi i postępuje w demokratycznej, zasobnej Europie.** Polskie samorządy mają narzędzia, aby takie zasady wprowadzić w życie, a jeśli ktoś nie wie, jak z nich korzystać, proponuję poradzić się prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka czy prezydenta Słupska Roberta Biedronia. PiS chce ulepić „nowego człowieka”, takiego swoistego „pismana”, i jeśli opozycja nie wykorzysta władzy w samorządach, aby temu przeciwdziałać – w przyszłości żadne programy już nie pomogą.

Jest oczywiście także sprawa taktyki przedwyborczej. W wyborach do samorządów liczą się głównie dwie kwestie: kto rządzi w miastach i kto rządzi w sejmikach wojewódzkich. Pojawiają się pomysły, aby opozycja wystawiła wspólne listy do sejmików i wspólnych kandydatów w wyborach prezydentów i burmistrzów miast. Koncepcje te znajdują chętne ucho u Grzegorza Schetny, który publicznie optuje za takimi porozumieniami. Innych chętnych wszelako brak. Ci, którzy mają podstawy sądzić, że przekroczą próg 5-procentowy, nie spieszą się do wspólnych list, a co do wyborów prezydentów i burmistrzów, wszyscy chcą najpierw w pierwszej turze sprawdzić siłę swojego kandydata i swojej partii. Argumentują, że w drugiej turze zjednoczą siły i solidarnie poprą tego kandydata opozycji, który w pierwszej turze wypadnie najlepiej. Konkludując – na razie nie ma powodu, aby cokolwiek wspólnie ustalać.

Rozumowanie to wygląda na logiczne, ale w rzeczywistości jest dla losów opozycji wyjątkowo niebezpieczne. Zakłada ono, że PiS uszanuje reguły gry zawarte w obecnej ordynacji wyborczej. Ta naiwność może drogo kosztować! A co będzie, jeśli na trzy miesiące przed wyborami PiS zdecyduje, że do wyboru prezydenta czy burmistrza wystarczy jedna tura, a w wyborach do sejmików zmniejszy okręgi wyborcze i podwyższy próg np. do 10 proc. (przykład dał tu Erdoğan, uważany przez ministra Waszczykowskiego za szczerego demokratę) – a wreszcie przyspieszy wybory?! Wtedy nie będzie już czasu na żadne uzgodnienia i podzielona opozycja polegnie, wydając pełne oburzenia okrzyki, iż PiS złamał zasadę, że zmiany w ordynacji wyborczej można wprowadzać nie później niż na pół roku przed wyborami.

Przesadzam? No to posłuchajmy, co ostatnio powiedział poseł Terlecki, szef klubu PiS: „Konieczne są drobne zmiany w przepisach wyborczych, **ale jeżeli uda nam się w stosunkowo krótkim czasie przeprowadzić reformę sądownictwa, to wtedy możliwa będzie dyskusja o jakichś głębszych zmianach w ordynacji**”. Pozwól Państwo, że przetłumaczę to „z polskiego na nasze”: jeśli uda się PiS zmienić kadrę w sądach (zwłaszcza w SN, który stwierdza ważność wyborów) na „zaufanych” sędziów – to będzie można dowolnie manipulować ordynacją wyborczą! Dlatego już dziś konieczne jest podjęcie rozmów między PO, Nowoczesną, PSL i SLD (Partia Razem maszeruje osobno), przygotowujących te partie na wszelkie „niespodzianki” wyborczo-ordynacyjne PiS. Chodzi o to, aby opracować metodologię postępowania, która pozwoli – w razie nagłej potrzeby – na szybkie stworzenie nie wspólnych list bądź wystawienie w wyborach na prezydenta i burmistrza tylko jednego, wspólnego kandydata.

W cieniu przygotowań do wyborów ludzie pana prezydenta prowadzą konsultacje w sprawie nowej konstytucji. Rozdają ankietę, a w niej np. takie pytanko: czy w obecnej konstytucji są takie przepisy, które nie powinny być zmieniane? (!) Pytanie to poraża swoją intelektualną głębią – podobnie zresztą jak całe konsultacje.

Miesiąc temu, 10 września, minęła 45. rocznica zdobycia przez polskich piłkarzy złotego medalu na olimpiadzie w Monachium. Już myślałem, że nikt tego wydarzenia nie uczci, ale na szczęście na posterunku był nieoceniony minister Błaszczak. Jeden z „Orłów Górskiego” Kazimierz Kmiecik właśnie otrzymał decyzję o obniżeniu mu emerytury, bo grając dla Polski, był na etacie milicyjnego klubu Wisła Kraków. Z kolei wdowom po innych „Orłach” obniżono renty. Takich skandalicznych przypadków jest znacznie więcej. Brakuje słów, aby właściwie określić pana Błaszczaka i tych wszystkich, którzy tę haniebną ustawę uchwalili. Jeśli jakieś tu pasują, to chyba te wypowiedziane z mównicy sejmowej „bez żadnego trybu”.

Na zakończenie coś do śmiechu. Jarosław Kaczyński: „W propozycjach prezydenta dostrzegam wątpliwości konstytucyjne”.



© REUTERS/FORUM 3

Pigułka tydzień po

Na ulice Barcelony wyszli teraz przeciwnicy odłączenia Katalonii.

Po ubiegłotygodniowym – w sumie nierozstrzygniętym – referendum niepodległościowym w Katalonii premier Hiszpanii Mariano Rajoy zasugerował, że może zawiesić katalońską autonomię, jeśli jej władze ogłoszą niepodległość. Obecny spór dotyczy w istocie właśnie jej kształtu. Na tym tle pojawiło się hasło referendum. Gotowość do mediacji zgłosiła Szwajcaria, władze samej Katalonii chciały, by mediował tamtejszy Kościół. Unijna Bruksela wypowiedziała się ogólnikowo za dialogiem. W podobnym duchu wystąpiła prezydent Barcelony Ada Colau: odłóżmy deklarację niepodległości, a Madryt niech wycofa z Katalonii siły policyjne. Jednak Rajoy mediację odrzuca, bo uważa referendum, sprzeczne z konstytucją, za nieważne. Może tylko wzywać władze katalońskie do powrotu do prawa i normalizacji.

Na znak poparcia dla rządu w Madrycie ulicami wielu hiszpańskich miast przeszły manifestacje przeciwników niepodległości Katalonii. Niektórzy uczestnicy żądali uwięzienia liderów katalońskich i dziękowali policji hiszpańskiej za blokowanie referendum, choć nawet przedstawiciel Madrytu w Katalonii przeprosił za brutalność części policjantów. Na przesłuchania w sądzie wezwano pod zarzutem podżegania do buntu szefa katalońskiej policji i działaczy obywatelskich organizacji niepodległościowych. **Manifestacja przeciw ruchowi niepodległościowemu** w samej Barcelonie zgromadziła co najmniej 350 tys. ludzi. Przemawiał pisarz noblista Mario Vargas Llosa i były przewodniczący Parlamentu Europejskiego Josep Borrell, socjalista. Jeden z mówców na wiecu drwił, że liderzy katalońscy i skrajna lewica zjednoczyła wszystkich Hiszpanów. Inna przemawiająca nazwała wydarzenia w Katalonii zamachem stanu. Kolejny cieszył się, że manifestacja jest głosem „milczącej większości”, która nie chce wychodzić z Hiszpanii w nieznane (frekwencja w referendum wyniosła 43 proc., ale pod presją masowej obecności policji). Tydzień po głosowaniu należał raczej do przeciwników niepodległości, ale na przesilenie bynajmniej się nie zanosi.

Abe i abekonomia

Japoński premier Shinzo Abe rozpiął przyspieszone wybory parlamentarne. Już raz wygrał na takim manewrze. Ale teraz posypały się na niego głosy krytyki, że osłabia kraj i naraża na polityczną próżnię, gdy reżim Kimów szykuje się do kolejnych prób jądrowych. Sam Abe twierdzi, że wobec nasilających się niepokojów w regionie to on właśnie jest gwarantem bezpieczeństwa. I jako silny lider, który nie tylko potrafi dogadywać się z głównym sojusznikiem Japonii Donaldem Trumpem, ale i negocjować ze stojącym na czele Korei Północnej Kim Dzong Unem, tylko on potrafi stawić czoło czyhającym na Japonię zagrożeniom. Wobec zarzutów, że nie dba o odbijającą się ostatnio w Japonii gospodarkę, i poświęca ją dla swoich politycznych rozgrywek, premier przypomina zasługi swojego programu gospodarczego, zwanego *abekonomią*, i zapewnia, że część środków z planowanej w 2019 r. podwyżki podatku przekieruje na edukację oraz opiekę nad dziećmi i osobami starszymi.

Przeprowadzone w 2014 r. przedterminowe wybory przyniosły mu większość w parlamencie. Teraz na łatwą powtórkę liczyć nie może, ale po miesiącach słabych sondaży, afer korupcyjnych i oskarżeń o nepotyzm jego notowania się polepszyły, więc Abe postanowił to wykorzystać. Dodatkowo opozycja jest skłócona, a partia Kibo, czyli formacja, którą założyła była minister obrony w rządzie Abego, a dzisiaj popularna gubernator Tokio Yuriko Koike, jeszcze nie okrzepła, lecz szybko zyskuje na popularności, więc premierowska ucieczka do przodu zaczyna nabierać sensu.

Z tyłu na przód

Umożliwienie Saudyjkom prowadzenia samochodu to pośrednie przyznanie, że nawet najbogatszy kraj nie da dziś sobie rady bez dopuszczenia kobiet do rynku pracy.

Na drogi Arabii Saudyjskiej w ciągu najbliższych kilku lat wyjedzie 9 mln nowych kierowców. Taki będzie efekt wpuszczenia Saudyjek za kierownicę samochodów. Choć panie zaczną samodzielnie jeździć dopiero od czerwca przyszłego roku, to koncerty samochodowe już liczą przyszłe zyski. Spodziewają się, że nabywczyńnie znajdzie co najmniej kilka milionów aut, powędrują na nie miliardy, które saudyjskie rodziny zaoszczędzą po oddaleniu szoferów, głównie obcokrajowców, powszechnie zatrudnianych z wymuszonej obyczajem konieczności. Zmiana spada sprzedawcom aut z nieba, bo 2017 r. był dla nich w królestwie bardzo słaby, sprzedawało się o ok. 30 proc. pojazdów mniej niż rok wcześniej. Mniejszy ruch w salonach



to jeden z licznych dowodów, że saudyjska gospodarka uzależniona od ropy (obecnie taniej) szybko potrzebuje tlenu. Ma go podać Mohammed ibn Salman, 31-letni następca tronu, odpowiadający za strategię rozwoju królestwa.

Podobno to księżę naciska na rewolucję obyczajową. Jest przekonany, że źródłem przyszłych niepokojów będą pozbawione perspektyw najmłodsze pokolenia, oczywiście w połowie składające się z kobiet, lepiej wykształconych od mężczyzn, coraz bardziej świadomych i niezadowolonych z mizoginizmu mężów, ojców, braci i przywódców. Gospodarka bez kobiet sobie nie poradzi. Na razie panie zajmują 22 proc. stanowisk, w 2030 r. miałyby obsadzić co trzecie. Już teraz w handlu czekać ma na nie co najmniej 400 tys. miejsc, ale ich nie przyjmują, skoro nie mogą sobie pozwolić na zatrudnienia kierowców, którzy mogliby je wozić do pracy. To w przyszłym roku się zmieni. Pozostaje tylko pytanie: co z rewolucją, gdy ropa ponownie zdrożeje?



Pokoju Nagrodę Nobla otrzymała w tym roku Międzynarodowa Kampania na rzecz Zniesienia Broni Nuklearnej (ICAN), koalicja organizacji pozarządowych z ponad stu krajów, która domaga się zakazu broni jądrowej. Sposobem na rozbrojenie ma być globalny traktat, ale dotąd umowę podpisały tylko 53 państwa spośród blisko 200 członków ONZ. Nobel miałby zachęcać do dołączania do umowy, bo wśród obecnych stron traktatu nie ma m.in. żadnego z dziewięciu posiadaczy arsenału jądrowego, nie ma też członków NATO, w tym Polski. I nie bardzo się zanoszą, by chciały dołączyć.

ICAN zwraca uwagę na skutki użycia broni, podkreśla norweski Komitet Noblowski, od dawna nie było też aż tak wysokiego prawdopodobieństwa bojowego użycia broni jądrowej: intensywnie zbroi się Korea Płn., Donald Trump chce zrewidować atomowe porozumienie z Iranem, a USA i Rosja modernizują swoje uzbrojenie. Nie brak jednak głosów, że działalność obywateli zaniepokojonych humanitarnymi konsekwencjami stosowania broni jądrowej jest, owszem, szlachetna, ale będzie

przeciwnie skuteczna, ponieważ rozwodni działanie znacznie bardziej powszechnego układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Eksperci, wywodzący się głównie z państw posiadających broń jądrową lub z krajów z nimi sprzymierzonymi, wskazują na paradoks, że to klincz nuklearny i zamknięcie dostępu do klubu atomowego pomaga zachować globalny pokój.

Na świecie przechowuje się ok. 15 tys. bojowych ładunków jądrowych, 92 proc. w magazynach USA i Rosji, arsenał ten wystarczy, aby zgładzić całą ludzkość. Dlatego od ponad 70 lat nikt go w wojnie nie wykorzystał. Co więcej, równowaga w niszczycielskim potencjale sprawia, że nie toczą się bezpośrednie duże wojny między mocarstwami i tak pewnie będzie nadal. Poza tym trudno się spodziewać, by ktokolwiek dobrowolnie chciał zrezygnować z bomb i oferowanej przez nie potęgi. Co nie zmienia faktu, dowodzi ICAN, że murowane gwarancje na uniknięcie powtórki z Hiroszimy dają tylko trwałe rozbrojenie, w związku z tym obywatele mają prawo do obaw i powinni domagać się od polityków, by bardziej się starali.

Dzielenie skóry na Londynie

Jeszcze nie dokonał się brytyjski rozwód z Unią, i może nieprędko nastąpi, ale wyścig, kto zastąpi Londyn i jego City jako europejską stolicę finansów, trwa w najlepsze. Na czoło stawki, przed faworyzowany Paryż, wysuwa się **Frankfurt**. Morgan Stanley, Citigroup i Standard Chartered już ogłosiły przeprowadzkę nad Tamizę nad Men, a Goldman Sachs i UBS – znaczną rozbudowę swoich frankfurckich biur. Inne znaczące decyzje mają zapadnąć wkrótce. Miasto szykuje 250 tys. m kw. nowych biur i stawia w centrum 10 imponujących wysokościowców, a kolejne są w planach. Powstaje Mainhattan, jak mówią miejscowi. A ceny najmu są tu jeszcze dwukrotnie mniejsze niż w Londynie. Miasto spodziewa się na początek przeprowadzki 10 tys. wysoko kwalifikowanych i jeszcze wyżej opłacanych fachowców z sektora finansów i 90 tys. nowych miejsc pracy przy obsłudze wyżej wymienionych. Frankfurt jest niemieckim centrum bankowym, ma już u siebie Europejski Bank Centralny oraz posiada liczne zalety.

Jest nie za duży (2,5 mln mieszkańców), ma świetne lotnisko i połączenia kolejowe, szybki internet, dużo zieleni, jest przyjazny, ludzie tu mówią po angielsku, ma też świetne weekendowe zaplecze turystyczne.

Sceptycy komentują: wolnego!; we Frankfurcie w sektorze finansowo-bankowym pracuje dziś góra 75 tys. osób, w Londynie może nawet 700 tys. Wszystkich się nie przeniesie, zresztą nie byłoby powodu. Ale jedno jest pewne: Frankfurt do tej pory przeproszał, że nie jest Nowym Jorkiem, Londynem czy Paryżem, teraz szybko pozbędzie się kompleksów.



© 123RF

REKLAMA

PRASA

DYSTRYBUCJA PRASY

RUCH

NOWOCZESNE CENTRUM USŁUG

SIEĆ DETALICZNA MAŁEGO FORMATU

USŁUGI DLA E-COMMERCE

www.ruch.com.pl



© MATEUSZ OCHOCKI/KFP

Granice modlitwy

Liczyli na milion uczestników różańcowej akcji, stawiało się 100, może 200 tys., ale i tak poszło w świat, że polscy katolicy na granicach bronią dostępu do swojego kraju.

**Różaniec do Granic,
czyli zbiorowa
modlitwa od morza
(na fot. plaża w Gdańsku)
do Tatr (Zakopane)**



© MPART SERVICE FORUM

M

AGNIESZKA SOWA

odlili się nad morzem, nad Bugiem i Odrą, i na lotniskach. Weszli na górskie szczyty, wypłynęli kutrami na morze i kajakami na Łynę. Zmobilizowano Polonię i żołnierzy w bazie w Afganistanie. Dla dzieci – wersja skrócona, do jednej tajemnicy, za to w symbolicznym miejscu, bo na Westerplatte. Rekord padł chyba w przygranicznym sanktuarium Matki Bożej Kodeńskiej na Podlasiu, gdzie zarejestrowało się prawie 8 tys. wiernych.

Nie udało się opasać granic Polski kordonem modlących się, bo nawet na bałtyckich plażach ludzie nie tworzyli łańcucha, tylko trzymali się w kilkudziesięcio- lub kilkusetosobowych grupach. Zwłaszcza ci, którzy przyjechali zorganizowani ze swoimi parafiami. Jak żeńska wycieczka z Mogilna w woj. kujawsko-pomorskim (w autokarze było może ze dwóch mężczyzn), skrzyknięta przez założycielkę rodziny Radia Maryja, czy delegacja parafii z Powidza. Jedni i drudzy trafili do kościoła w Gdańsku Jelitkowie, tuż nad morzem. Kilkusetosobowa grupa modliła się razem przy wejściu na plażę nr 63, skupiona wokół księdza proboszcza, który apelował o rozciąganie się w lewo, w kierunku Sopotu, i w prawo, do Przymorza. Posłuchali młodszy, którzy najwyraźniej chcieli modlić się w skupieniu, sami, co najwyżej ze słuchawką w uchu i uruchomioną na smartfonie aplikacją Radia Maryja.

W połowie drogi między Jelitkowem i Przymorzem ulokowała się kilkusetosobowa delegacja ruchu „Jezus Królem Polski” z flagami przedstawiającymi Jezusa Króla i z wielkimi transparentami („Duchu Święty przyjdź” i „Króluj nam Panie”), które z powodu wiatru położyli na piasku. Kilometr dalej, w Przymorzu, nad samym Bałtykiem, ale twarzą do wydm i przebijającego przez chmury słońca, modlił się biskup Wiesław Szlachetka i seminarzyści, a wierni uformowali olbrzymie koło wokół trzech mężczyzn ze służby porządkowej, dźwigających na plecach przenośne głośniki, z których nadawało Radio Maryja, transmitujące na żywo wydarzenie z kilkunastu miejsc na granicach Polski.

Sponsorzy i ambasadorzy

W lipcu Maciej Bodasiński, który razem ze swoim przyjacielem Lechem Dokowiczem wymyślił Różaniec do Granic, wszedł w intencji tego przedsięwzięcia na Rysy, najwyższy punkt na polskiej granicy. „Z każdym krokiem wyobrażałem sobie jednego człowieka, który 7 października przyjdzie na granicę modlić się o ratunek dla Polski i dla świata”, mówił po wspinaczkę. Nie liczył kroków, ale miał nadzieję, że zrobił milion i że tyle przyjdzie. Łączna długość granic Polski to 3,5 tys. km, 500 ludzi na kilometr mogłoby niemal złapać się za ręce i dosłownie otoczyć kraj.

Dokowicz (51 lat) i Bodasiński (40 lat), katoliccy filmowcy, reżysjerzy i świeccy ewangelizatorzy z fundacji Solo Dios Basta (Wystarczy tylko Bóg), już w zeszłym roku zorganizowali duże modlitwne wydarzenie. W Narodowej Pokucie na Jasnej Górze, w intencji prześlania za grzechy aborcji i komunizmu, wzięło udział ok. 150 tys. wiernych. To była przygrywka. Dziś ich inicjatywie przyklasnęli hierarchowie: arcybiskup Stanisław Gądecki, metropolita poznański i przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, poparcie władz Kościoła dla różańcowej inicjatywy uzasadnił tym, że każda modlitwa jest potrzebna, a zwłaszcza w intencji pokoju. I podkreślił, że to największe spotkanie modlitwne w Europie.

Komisja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP opracowała program wydarzenia. Wszystkie 22 diecezje przygraniczne wyznaczyły 320 kościołów stacyjnych. Księża odprawili w nich

specjalne nabożeństwa, po których wierni wyruszyli na granicę, do punktów modlitwy. Zazwyczaj, bo w Kodniu uznali, że są tak blisko granicy, że nie ma sensu iść nad Bug i różaniec odmawiano na Kalwarii Kodeńskiej i na terenie sanktuarium.

Rząd nie zaangażował się bezpośrednio w różańcową akcję, choć premier Beata Szydło tego dnia na Twitterze wstawiła zdjęcie różańca. Zrobiły to jednak państwowe spółki – Grupa Energa i Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych wraz z powołaną przez PWPW Fundacją na rzecz Obrony Pamięci Historii Polski Reduta, które wsparły akcję finansowo. Można było wydrukować kilkadziesiąt tysięcy plakatów i ponad milion ulotek, rozesłanych do parafii w całej Polsce. Nakręcić spoty reklamowe z udziałem ambasadorów Różańca do Granic: z Cezarym Pazurą, Jerzym Zelnikiem, Przemysławem Babiarem czy Dominiką Figurską. Dać całostronnicowe reklamy do prawicowych gazet. A inna państwowa spółka, koleje PolRegio, zaferowała pielgrzymom z różańcami przejazd za złotówkę do wyznaczonego miejsca modlitwy i z powrotem.

Kęsim, kęsim

W kościele pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Gdańsku Jelitkowie ksiądz z ambony mówił, że niektórzy w tym, co się za chwilę wydarzy, widzą prawdziwy cud dla Europy i świata, a cała nasza ojczyzna staje się „wieczernikiem modlitwy”. I o tym, że chcą nam zabrać to, co dla nas najcenniejsze: naszą wiarę.

Pani Stanisława z Powidza, po pięćdziesiątce, nie ma wątpliwości, kim są ci „oni” czyhający na wiarę Polaków: – *Wiedomo, muzułmanie. Ściągają ich do Europy, a oni mordują chrześcijan. Tak nie można. I tylko Polskę jeszcze została, we Francji, w Niemczech nie ma już nawet kościołów, dlatego to my się musimy za nich modlić.*

Różaniec do Granic zorganizowano 7 października, w święto Matki Boskiej Różańcowej i w rocznicę bitwy pod Lepanto, w której Liga Święta, flota chrześcijańska, za którą stał papież, pokonała na morzu wielokrotnie liczniejsze wojska islamskiego Imperium Osmańskiego (i tylko przypadkiem data pokrywała się też z PRL-owskim świętem milicji obywatelskiej i pracowników służby bezpieczeństwa, przypadającym na dzień powołania tych instytucji do życia).

Pomysłodawcy wydarzenia, przekonując o skuteczności modlitwy różańcowej, przypomnieli (w wywiadzie dla tygodnika „Niedziela”) o zwycięstwie króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem, również wymodlonym przez rodaków na różańcach: „Gdyby wojska polskie nie powstrzymały tego potężnego natarcia, chwilę później dziesiątki pięknych miast Europy ległyby w gruzach, zostałyby porwane, zgwałcone kobiety, dzieci wzięte w jasyr i przetrzylibyśmy zalanie islamem Europy”. Bodasiński i Dokowicz przyznają, że może w tamtych czasach zagrożenie było większe, ale i wiara w narodzie silniejsza. Dziś potrzebny jest „prawdziwy zryw duchowy, modlitwa na kolanach i nie pojedynczych ludzi, a całego narodu”. Bo do Europy wchodzi „nowa, bardzo silna cywilizacja”.

– *Lepiej walczyć różańcem niż karabinem* – doprecyzował wicemarszałek Sejmu Joachim Brudziński, który uczestniczył w modlitwie różańcowej w sanktuarium w Siekierkach w województwie zachodniopomorskim.

Po takich słowach nie sposób uwierzyć zapewnieniom, że cała akcja różańcowa nie służy zamknięciu Polski przed uchodźcami. Więc trudno się dziwić, że dla niektórych duchownych była to modlitwa przeciwko tym ludziom, którzy mieliby te granice przekroczyć. – *A modlitwa zawsze powinna być za kimś, za czymś, nigdy przeciw* – mówi ks. Kazimierz Sowa. – *Widzę tu różaniec wmanewrowany w politykę. W dodatku Ewangelia wg św. Mateusza jasno mówi: strzeżcie się, żebyście uczynków pobożnych nie dokonywali przed ludźmi. Ostentacja w modlitwie nie jest dobra.*

17-latka z Torunia przyjechała na morską granicę z rodzicami modlić się głównie w intencji brata, który wstąpił do seminarium. Ale także za pokój na świecie. Jest przekonana, że właśnie ►